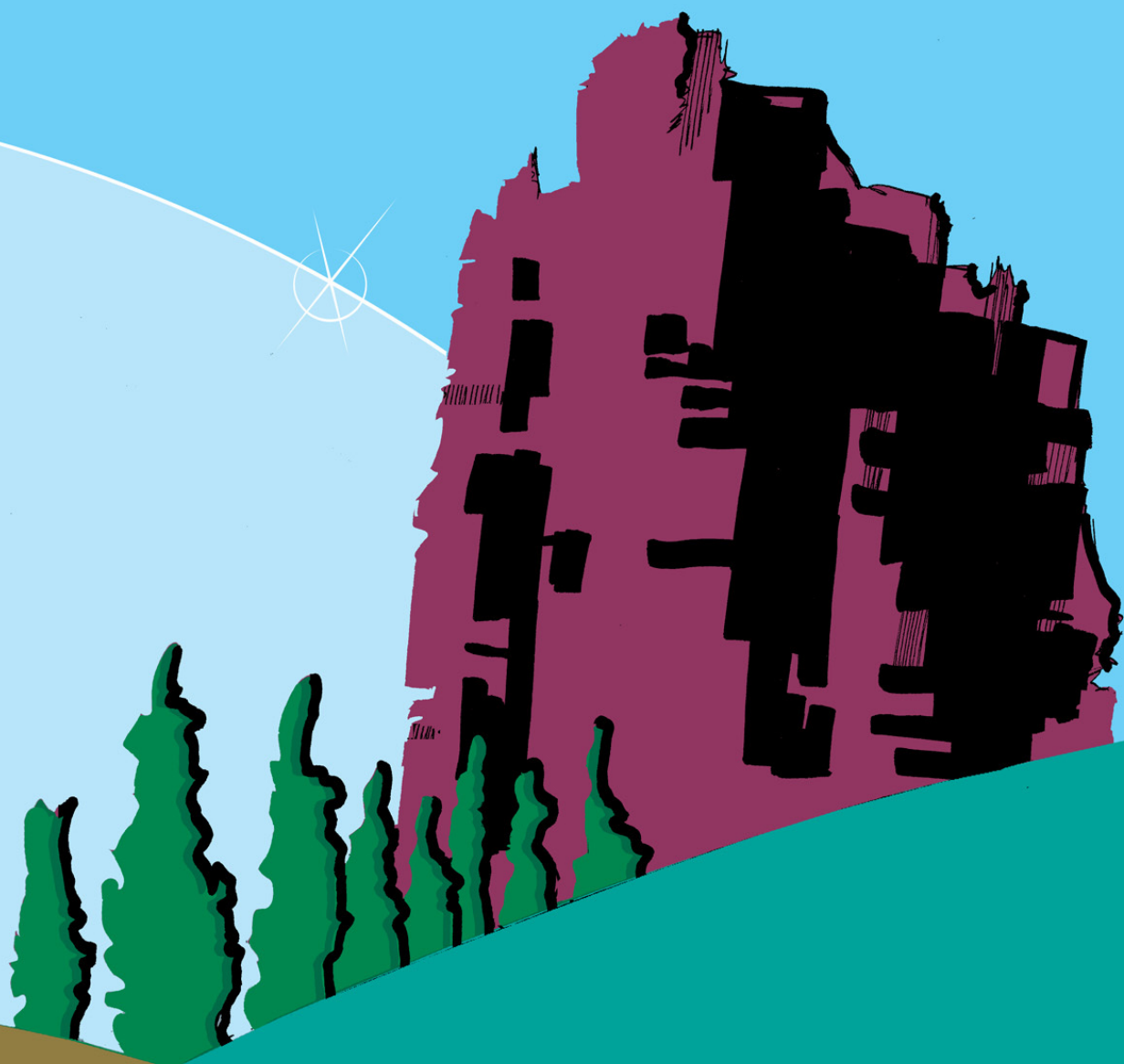


Bohdan

PETECKI



**TYLKO
CISZA**

Bohdan Petecki

TYLKO CISZA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-08-3

Copyright © Katarzyna Petecka-Jurek

Tekst: Iskry, Warszawa 1986

Projekt okładki: Bartek Biedrzycki

Rozdział I

Haleb utkwiał wzrok w milczącym głośniku i pochylił się do przodu. Twarz mu ściemniała. Jego dłoń powędrowała w stronę pulpitu łączności, zatrzymała się w pół drogi, po czym opadła.

– Zbudź ich – mruknął. – Będą ci wdzięczni...

Przebiegłem wzrokiem ekrany.

Tak, to już dom. Układ Słoneczny. Świadczy o tym ten szarawy nalot na czerni przestrzeni. Aby nauczyć się go dostrzegać, trzeba mieć za sobą ładne parę lat pracy.

Tylko że ten dom był inny niż zwykle. Niemy.

Odczekałem chwilę i powtórzyłem wezwanie. Zielona nitka na ekranie kontrolnym zafalowała, a następnie wróciła do dawnego położenia.

Cisza.

Osiągnęliśmy orbitę Marsa. Od dwudziestu minut komputer prowadził statek korytarzem wytyczonym przez automaty nawigacyjne bazy. Uczucie lekkości i rozluźnienia, zawsze towarzyszące przejmowaniu sterów przez fotolatarnie, tym razem kazało na siebie czekać. Czujnik potwierdzający odbiór wezwania przez największą stację Centrali pulsował nieprzerwanie zielonym światłem. Od dwunastu minut identyczny sygnał przyzywał do pulpitu łączności dyżurnego koordynatora lądowiska.

Cisza.

Rozłączyłem tor fonii i zamknąłem go ponownie. Powtórzyłem to kilkakrotnie. Następnie przesunąłem do oporu suwak modulatora i powiedziałem:

– „Dyna” do dyżurnego bazy. Piloci Haleb i Ornak na kursie bezpośrednim. Odbiór.

Nitka namiaru przesunęła się odrobinę w prawo. Wykres drogi osiągnął połowę podłużnej tarczy. Czujniki zarejestrowały zmianę natężenia wiatru słonecznego.

Milczenie przeciągało się.

– Mogłeś sobie darować – odezwał się AI. – Państwo wyszli i nie wiem, kiedy wrócą...

Potrząsnął głową. Chwilę siedział bez ruchu, po czym mruknął coś niezrozumiale i poprawił się w fotelu. Przyglądał włosy, sięgnął za siebie po kask i zaczął go wkładać.

Nie odpowiedziałem.

Wykorzystanie strumieni tachjonowych otworzyło ludziom drogę do gwiazd. Ale gwiazd najbliższych. Nasz obecny lot na drugą planetę Proksimy i z powrotem trwał niespełna dziewięć lat. I tak będziemy mieć dość kłopotów z uzupełnianiem luk w technice pilotażu, w informatyce, w życiu prywatnym. Nie znałem nikogo, kto skończywszy szesnaście lat życia myślałby poważnie o lotach do centrum Galaktyki.

Ludzi wracających z gwiazd witają ludzie. Po dwudziestu minutach wpatrywania się w milczący głośnik Haleb miał prawo powiedzieć, co o tym myśli. Namiar działał normalnie. Fotolatarnie prowadziły „Dynę” nieomylnie do celu. Nie było najmniejszych powodów do niepokoju.

Równocześnie jednak narastało w nas przekonanie, że za tym milczeniem kryje się coś więcej niż roztargnienie dyżurnego koordynatora.

– Za sześć minut powtórzymy wezwanie – powiedziałem spojrzawszy na liniowy wskaźnik relacji czasów. – Jeżeli i wtedy nie raczą się odezwać... – urwałem. Chciałem dodać, że jeśli za sześć minut baza nie przemówi, wywołam centralną rozdzielnię na Ziemi, ale w tym właśnie momencie głośnik ożył.

– Zmiana kursu! – rzucił Haleb.

– Cicho! – syknąłem.

– ...bezpośrednio na orbicie – dobiegło nas zakończenie zdania, którego początek zagłuszył okrzyk Ala. – Do lądowania dwieście pięćdziesiąt, dwieście czterdzieści dziewięć, dwieście czterdzieści osiem...

Zielona nitka dotknęła na moment krawędzi ekranu, po czym wróciła, dzieląc tarczę na dwie idealnie równe części. Punkciki znaczące tor statku na wykresie współrzędnych ścieśniły się w wąski łuk. Tylko załamanie paraboli świadczyło o zmianie kursu. Nasze ciała pozostały nieruchome, nie odczuliśmy najsłabszego bodaj wzrostu ciężenia.

Głośnik odliczał czas pozostały do lądowania. Niebawem przemówią dysze hamownic.

Także i teraz malejących liczb nie podawał głos człowieka. Impulsy płynęły z komputera stacji orbitalnej, który zaprogramował korytarz i przygotował lądowisko.

Zniecierpliwienie Haleba ulotniło się bez śladu. Siedział bez ruchu, wpatrzony w ekrany, z miną człowieka, któremu setny raz opowiadają tę samą anegdotę. Od kiedy stało się jasne, że główna stacja na orbicie Luny jest wyłączona z ruchu, nie odezwał się słowem.

Przeszliśmy tak blisko macierzystej bazy, że niewiele brakowało, by znalazła się w bezpośrednim zasięgu naszych obiektywów. Tarcza Ziemi rozrosła się, zasnęła kolorowymi pasmami.

– ...pięćdziesiąt jeden, pięćdziesiąt, czterdzieści dziewięć...

Teraz. Oparcie fotela pchnęło mnie lekko do przodu. Na ekran wystąpiła mgła, w której przeskakiwały szybko gasnące isierki. Ściany kabiny zabrzęczały stłumionym rezonansem. Wskaźnik szybkości ożył, liczby zaczęły się zmieniać, podobnie jak ich tło, pocięte w kalejdoskopowe figurki. Sprężarki przyspieszyły. Zawartość tlenu w wypełniającym kabinę powietrzu zaczęła wzrastać.

– ...dwanaście, jedenaście, dziesięć...

„Dyna”, posłuszna nakazom płynącym z pola startowego, przystąpiła do manewrów poprzedzających lądowanie. Ekran zalśnił czernią przemieszaną już z granatem. Przez moment mignęły nam przed oczami skrajne tarasy stacji z zakończonymi ostro łukami wysięgników, po czym znowu ukazały się gwiazdy. Usłyszeliśmy suchy zgrzyt. Statek się zakołysał, pierwszy wyczuwalny ruch po czteroletnim trwaniu w galaktycznej pustce, gdzie tylko meldunki czujników informują człowieka, że pokonuje drogę od gwiazdy do gwiazdy z szybkością nadświatlną. Ruch, od którego odwykło się do tego stopnia, że teraz żołądek podchodzi do gardła.

Jeden, ostatni wstrząs, złagodzony przez amortyzatory. Urwane miauknięcie silnika po zamykającym sprawę „zerze” i nagle cisza.

Zdjąłem dłonie z pulpitu i położyłem je na poręczach. Haleb westchnął i przeciągnął się.

– Spytaj, jak długo postoiimy – powiedział niedbałym tonem, wskazując głową przejście do włazu. – Czy zdążymy wyjść na papierosa. Oczywiście, jeżeli tam jest ktoś żywy... – dorzucił.

Nie poruszyłem się. Czekałem. Pierwsze słowo należy do załogi stacji. Automaty zrobiły swoje.

Zegary nie działały. Wskaźnik relacji czasu do szybkości lotu przestał być aktualny. Wróciliśmy do zacnych, szkolnych wymiarów. Jeśli nawet wydaje mi się, że wylądowaliśmy godzinę temu, to tak właśnie wygląda normalna reakcja po locie pozaukładowym.

Jesteśmy gotowi. Lampki sygnałowe pod okapami hełmów pozostają niewidoczne. Skafandry są szczelne.

Sekundy płyną. Sytuacja zaczyna zakrawać na dramat, z którego robi się farsa, ponieważ wszyscy aktorzy nagle zapomnieli tekstu.

– No dobrze – otrząsnąłem się wreszcie. – Zaczynamy bez nich...

Wstałem i bez pośpiechu ruszyłem w stronę korytarza. W przejściu stanąłem i nie odwracając się skinąłem na Ala, żeby szedł za mną. W tej samej chwili głośnik zatrzeszczał. Jakby czekali tylko na ten moment.

– Uwaga Ornak i Haleb! Mówi Tarrowsen. Mamy trochę kłopotów z łączami. Jesteśmy tutaj we dwóch z Oneską. Możecie wychodzić, ale zabierzcie skafandry i tlen. Nie ręczę za korytarz.

Minęła chwila, zanim Haleb położył dłoń na pulpicie łączności. Wyglądało, jakby każdy ruch rozkładał sobie na raty.

– Załoga „Dyny” – powiedział półgłosem. – Jesteśmy w skafandrach. Wychodzimy.

Stacja, do której nas skierowano, należała do największych ziemskich obiektów orbitalnych. Każdy taki zawieszony w próżni kombinat musi mieścić kilkanaście dużych pracowni pomiarowo-badawczych, mieć własne grupy techniczne i ekipy obliczeniowe, park rakiet bliskiego zasięgu, służby łączności, biotechniczne, pomocnicze... Razem, lekko licząc, ze stu ludzi.

Teraz było ich dwóch. Z całym tym kramem i awarią łączy.

Zostaliśmy w tyle o dziewięć lat. Niespodzianki przy powrotach są solą życia pilota. W czasie lotów z szybkością tachjonową, dwustronna łączność pozostaje jedynie wizją cybernetyków – optymistów. Ci zawsze zapewniają, że tym razem to już na pewno. Wszyscy inni zacierają ręce, jeśli meldunki z przestrzeni docierają w zrozumiałym kształcie na Ziemię. I jeśli załogom wracającym w płaszczyznę ekliptyki udaje się bez kluczenia złapać namiar macierzystej bazy.

– Mówi Oneska. Dzień dobry, Ornak. Dzień dobry, Haleb. Zaraz się zobaczymy. Przykro mi...

Zatrzasnąłem drzwi śluzy. Głos profesora złapał nas, kiedy byliśmy już w przejściu. Nie widziałem powodu, dla którego miałbym czekać, aż skończy nas przeproszać. A jeśli chodzi o niezbędne wyjaśnienia, to na nie i on, i my będziemy potrzebować więcej czasu.

Elastyczny korytarz, który połączył właz „Dyny” z wysuniętym przedsionkiem stacji, wbrew obawom Tarrowsena był nie uszkodzony. Szliśmy powoli, co kilka kroków sprawdzając zachowanie czujników. Sygnał alarmu nie odezwał się ani razu.

Za to automat śluzy funkcjonował jak żywy zaspany portier. Staliśmy pół minuty, zanim w ścianie zarysowała się szczelina. Kłapa pełzła niechętnie, z suchym chrobotem, jakby musiała pokonywać opór zardzewiałych prowadnic. Z kolei za nami spadła tak gwałtownie, że ledwo zdążyłem uciec z piętami.

Dalej wszystko poszło normalnym trybem. Sprężarki wyrównały ciśnienie i oczyściły atmosferę. Trwało to dość długo. Komora śluzy była obliczona na odbiór pasażerów i załóg dużych statków łącznikowych.

Wreszcie nad wejściem do hallu zapaliło się zielone światło. W otwartych drzwiach ujrzelśmy Tarrowsena.

– Nareszcie jesteście – powiedział takim tonem, jakbyśmy te dziewięć lat spędzili w ogródku jordanowskim.

Uścisnąłem jego dłoń tkwiącą w grubej, szorstkiej rękawicy i przyjrzałem mu się.

Był ostatnim człowiekiem, z którym rozmawiałem przed startem. To zresztą zrozumiałe, kierował zespołem pilotów od niepamiętnych czasów, w każdym razie niepamiętnych dla mnie.

Dziewięć lat zrobiło swoje. Włosy mu pobielewały, zmarszczki nad brwiami utworzyły głębokie bruzdy. Był w kompletnym skafandrze próżniowym. Z kaskiem pod pachą wyglądał jak pilot przed odprawą. Uśmiechał się ściskając dłoń Haleba, ale oczami wodził po ścianach korytarza, jakby w każdej chwili oczekiwał uderzenia meteorytu.

– No, chodźcie – powiedział wreszcie, cofając się.

Minęliśmy go bez słowa. Korytarz prowadzący do kabin był nie oświetlony. W pewnej chwili odruchowo sięgnąłem do kasku, żeby zapalić umocowany tam punktowy reflektorek.

– Przeszliśmy na własne zasilanie – wyjaśnił Tarrowsen. – Oszczędzamy...

Miało to zabrzmieć dowcipnie. Bezwiednie ściągnąłem wargi.

– Naprawdę? – rzucił Haleb tonem uprzejmego zdziwienia.

Od kilkudziesięciu lat wszystkie sztuczne satelity w obszarze pierwszej strefy planetarnej otrzymywały energię z zewnątrz. Działa laserowe, rozlokowane na zastrzeżonych orbitach, okazały się wielokrotnie wydajniejsze od tysięcy generatorów instalowanych w poszczególnych obiektach. Koszty spadły o połowę, a straty energii przesyłanej skupionymi wiązkami promieni równały się praktycznie zeru.

Drzwi do centralnego pomieszczenia, które nazywano nawigatorią, choć oprócz stacyjki wewnętrznej łączności nie było tam ani jednego pulpitu sterowniczego, stały otworem. Przy nerkowatym stole siedział starszy mężczyzna, który na nasz widok podniósł się i wyprostował. Był to Oneska, biomatematyk. Jego równaniom zawdzięczają tacy jak ja przesunięcie progu przeciążenia do przyśpieszeń, pozwalających serio myśleć o gwiazdach, przynajmniej najbliższych. Stulecie profesury Oneski, zapowiadane jeszcze przed startem „Dyny”, wypadło akurat w czasie naszej nieobecności.

– Świetnie, że jesteście – powiedział mocnym, niskim głosem, w którym jednak pochwyciłem nutkę tłumionego napięcia. – Czekałszy już tylko na was...

Zmierzył wzrokiem kolejno Ala i mnie, westchnął, po czym pochylił się nad stołem, jak starożytny wódz nad sztabową mapą.

– Przede wszystkim – zaczął rzeczowym tonem – nie myślcie, że stało się coś złego. Wręcz przeciwnie... ale o tym później. Po prostu wycofaliśmy załogi ze wszystkich obiektów pozaziemskich. Dlatego nikt was nie przywitał na granicy układu. My jesteśmy ostatni. Od przedwczoraj, poza czekaniem na was, nie mamy nic do roboty. Za dziesięć minut opuścimy stację. Energia nie będzie jej wtedy potrzebna, podobnie jak pozostałym konstrukcjom orbitalnym. Dlatego Ziemia wygasła baterie.

Haleb odchrząknął. Oneska posłał mu krótkie spojrzenie, potrząsając głową. Al zamknął usta.

– Realizujemy pewien stary plan – ciągnął profesor – nawiasem mówiąc, musieliście o nim słyszeć. Powstał na długo przed waszym odlotem, tylko wtedy nie było technicznych możliwości jego realizacji. Sytuacja zmieniła się siedem lat temu, kiedy Hanek ze swoim zespołem ogłosił nową teorię pola, zwaną teraz nadsystemem pola wielkiego. Na liczne warianty praktycznych zastosowań nie trzeba było długo czekać. No i dzisiaj... – urwał. – Tak czy inaczej – podjął po chwili – pozostaniemy w kontakcie. Musicie wiedzieć – wyprostował się i spojrzał na nas z uśmiechem – że jestem jednym z autorów tego, co teraz wszystkich nas, Ziemian, czeka. Jako biomatematyk, oczywiście. No tak... to na dziś byłoby wszystko.

Nie miałem nic do powiedzenia.

– Możemy już lecieć? – spytał Haleb.

Oneska rozejrzał się po kabinie.

– Tak... – bąknął, jakby zaskoczony. – Tak... naturalnie.

Tarrowsen podszedł do pulpitu i przejechał dłonią po klawiaturze. Światelka centrali komunikacyjnej zmatowiały, po czym zgasły.

Odwrociłem się i ruszyłem w stronę korytarza. Przekroczyłem próg i pogrążyłem się w mroku. Teraz dopiero spostrzegłem, że zapomniałem zgasić reflektor przy kasku. Patrząc na Oneskę i Tarrowsena świeciłem im prosto w oczy. Chyba tego w ogóle nie zauważyli.

Cisza. Martwota. Nasze kroki w opancerzonym tunelu brzmią jak uderzenia młotem w pień drzewa.

„Dyna” zostaje tutaj, przycumowana do stacji. Nie wiedziałem jeszcze nic, poza tym, że nieprędko zobaczę ją znowu. Poczciwy statek, który wyniósł nas między gwiazdy, a potem żywych i całych oddał Starej Ziemi. Czy rzeczywiście starej? To znaczy tej, którą żegnaliśmy dziewięć lat temu?

W tej chwili żegnamy „Dynę”. Zostaje tu jak stara panna, trochę już zapewne śmieszna, a zarazem dziewiczo czysta. Zespoły pamięciowe jej pokładowej aparatury są wymiecione do ostatniego bitu. Czy kiedyś jakaś inna załoga zapisze w niej swoje własne olśnienia i lęki? Należało w to wątpić. Konstruktorzy także chyba znaleźli już swoje „warianty zastosowań” tej jakiejś nowej teorii pola.

Oczywiście komplet meldunków i danych dotyczących zakończonego dopiero co lotu przesłaliśmy na Ziemię natychmiast po wyjściu z hibernatorów. Przedtem zrobiły to pokładowe automaty. A ponadto komputer Centrali zapisywał wszystkie nasze obserwacje, rozmowy i czynności, przekazywane w ciągu całego lotu, bez chwili przerwy.

Na platformie startowej czekała rakieta typu „Cerera”, przystosowana do lądowania w atmosferze. Bez trudu mogła pomieścić szkolną wycieczkę. W jej sterowni stał jeden płaski pulpit z zespołem przystawek, jakich nigdy dotąd nie widziałem.

W czasie podróży nie dali nam spokoju. Tarrowsen chciał wiedzieć, jak spisuje się antykorozyjne tworzywo, którym powleczono aparaturę zainstalowaną na planetach Proksimy. Oneska pytał, czy nie mieliśmy snów świadczących o zaburzeniach nerwowych. A także, co odczuwaliśmy w momencie przekraczania bariery światła. Było aż nadto widoczne, że chodzi tylko o odwrócenie naszej uwagi od tego, o czym nie chcieli bądź nie mogli mówić. Przebieg ekspedycji znali przecież nie gorzej od nas. Wiedzieli nawet więcej. Otrzymywali meldunki przez wszystkie lata, które my spędziliśmy w hibernatorach.

W ostatecznym rachunku nasza wyprawa okazała się zwykłym lotem inspekcyjnym, tyle że do najdalszej ziemskiej stacji obserwacyjnej.

Swego czasu start „Dyny” stanowił sensację. Towarzyszyła mu atmosfera powszechnego entuzjazmu, niekiedy wręcz euforycznego. W sygnały, przekazywane z bezludnej bazy w rejonie Proksimy, wmieszał się obcy kod. Uruchomiono całą ziemską sieć informacyjną. Powołano kilkusetosobowy sztab specjalistów. Ulice opustoszały, bo ludzie nie chcieli odchodzić od odbiorników. Wszyscy czekali na doniesienia o spełnieniu wizji setek pokoleń: spotkaniu z kosmitami.

Czekanie przeciągało się. Minęły miesiące, zanim ostatecznie stwierdzono, że przechwycone sygnały, chociaż nie pochodzą ze źródeł naturalnych, są alogiczne. Wszelkie próby odczytania ich jako kodu komunikacyjnego pozostały bez rezultatu.

Pomimo to, kiedy zdecydowano się wysłać patrol w celu zbadania sprawy na miejscu, żegnały nas tłumy. Wyruszyliśmy obciążeni dziesiątkami specjalnie dla nas wymyślonych selektorów i dodatkowym komputerem z przystawkami, mieszczącymi wszelkie możliwe kombinacje programów kontaktowych. Kiedy po czterech latach budziliśmy się w pobliżu celu, nie wiedzieliśmy, co naprawdę zastaniemy na globach Centaura.

Ujrzelśmy dobrze znane konstrukcje automatycznej stacji, upstrzone talerzami i kratownicami anten, z których najmniejsza liczyła sześćset metrów średnicy. Sporo trudu i jeszcze więcej czasu kosztowało nas odszukanie miejsca, w jednym z setek tysięcy węzłów światłowodowych, gdzie trafienie meteorytu spowodowało powstanie swoistego rezonansu, czegoś w rodzaju echa magnetycznego. I to było wszystko.

Ziemia знаła prawdę od trzech z górą lat. Strumienie tachjonowe biegną szybciej niż pędzone nimi statki. Nawet Tarrowsen i Oneska zdawali się nie pamiętać, po co nas właściwie wysłano i jak wyglądało pole startowe, kiedy zajmowaliśmy miejsca w kabinie promu. Na temat awarii stacji, bo w końcu była to tylko awaria, oraz sposobu jej usunięcia, nie zająknęli się słowem. To już historia. Jeden z zabawniejszych może, ale nic nie znaczących epizodów w dziejach eksploracji kosmosu.

Ostatni kwadrans lotu minął już w milczeniu. Patrzyłem na rozbiegające się w dole kontury kontynentu i pierwszy raz tego dnia pomyślałem o Avii. Jej delikatna twarz o drobnych, wyraźnie zaznaczonych kościach policzkowych, stanęła mi przed oczami, jakby od chwili naszego rozstania minęły nie lata a godziny.

Nic tak jak tęsknota nie unaocznia człowiekowi spójności czasu i przestrzeni. Ciążył mi każdy tysiąc kilometrów pogłębiający przepaść dzielącą „Dyne” od Ziemi. Ale przed rozpamiętywaniem rozłąki bronił mnie instynkt pilota. Instynkt samozachowawczy. Nie chciałem tęsknić. Miewałem godziny, a nawet doby, kiedy to mi się udawało.

Jest jeszcze te dziewięć lat, które dla mnie, pędzącego przez próżnię w wąskiej puszczy hibernatora, zbiegły się do niespełna dwunastu miesięcy. Stanie się to zapewne żelaznym tematem naszych żartów i przekomarzań, ale podświadomie Avia nigdy nie przestanie oczekiwać potwierdzenia swojego kobiecego niepokoju.

*

Włożyła dzisiaj tę samą sukienkę co wtedy, kiedy mnie odprowadzała. Nie jestem sentymentalny, ale nad kimś, kto teraz powiedziałby mi, że to tylko gest, mógłbym się litować do końca życia. Stała samotnie, pośrodku ogromnej hali portu orbitalnego.

Idąc rozejrzałem się mimo woli, zaskoczony pustką panującą w tym, zwykle tak ruchliwym miejscu. Wtedy spostrzegłem, że podczas naszej nieobecności dworzec pozbawiono ścian i w ogóle jakichkolwiek konstrukcji nośnych. Pozostała jedynie zawieszona na nie istniejących nitkach płaszczyzna dachu.

Ale teraz była przede wszystkim Avia. Nie poruszyła się, kiedy szliśmy w jej stronę. Moi trzej towarzysze pozostali nieco z tyłu, jakby nagle odkryli, że mają sobie mnóstwo do powiedzenia.

Pozostała milcząca i bierna także wtedy, kiedy stanąłem przed nią i pocałowałem ją w usta. Chciałem ją przygarnąć, ale cofnęła się. Utkwiła wzrok w moim czole uważnie badając każdą zmarszczkę. Patrzyła tak dłuższą chwilę, aż wreszcie usłyszałem jej śmiech. Położyła mi dłoń na piersi. Uniosła głowę.

– Jakiś ty młody – powiedziała.

Z tyłu dobiegło westchnienie. Oneska. Nie wiem, czy bezwiednie dał wyraz swojemu zniecierpliwieniu, czy też słowa Avii poruszyły w nim jakąś bardzo osobistą, wrażliwą strunę.

Rezerwa, z jaką myślałem o pierwszych chwilach po powrocie, okazała się zdumiewająco bezsensowna. Nie ma reporterów, ciekawskich, nie ma nawet garstki entuzjastów. Wszystko wygląda inaczej. Dlaczego ten hall jest pusty jak cmentarz nad ranem? Dlaczego Avia przyszła sama? Gdzie są moi najbliżsi? Nie stało się nic złego. Tarrowsen powiedział to wyraźnie, zresztą dość spojrzeć na Avię. Więc co, u licha?

Zaśmiała się znowu.

– Załatw szybko swoje sprawy. W domu nie mogą się doczekać...

Wzruszyłem ramionami. Równie dobrze jak ja wie, dokąd teraz pójde. Weryfikacja przekazów informatycznych – tak to się nazywało w regulaminie Centrali. Potem „medycyna”. W sumie kilka, jeśli nie kilkanaście godzin.

– Lepiej nie czekajcie z obiadem – mruknąłem, dając znak Halebowi, który przywitał się krótko z Avią, po czym od razu ruszył w kierunku wyjścia.

Dopiero z odległości kilkunastu metrów od zewnętrznego tarasu dostrzegłem sterczące wzdłuż obrzeża dawnej konstrukcji portu małe, czarne głowice emitorów. Oto i przykład zastosowań nowej teorii pola. Oneska i Tarrowsen byli niedorzecznie wstrzemięźliwi, ale to tutaj mówiło wiele. Doskonale przeźrocyste tworzywo nie istniało nadal. Ścian po prostu nie

było. Płaszczyzna dachu spoczywała na polu siłowym, stymulowanym z wbudowanych w fundamenty aparatów. No cóż. Ja sam, jeszcze jako stażysta, poznałem kilka dość mglistych teorii, proponujących zastąpienie najrozmaitszych konstrukcji i materiałów „budulcem” siłowym. Byłem świadkiem dwóch czy trzech pomyślnie zakończonych eksperymentów. Próby te jednak nigdy nie wyszły poza progi placówek badawczo-doświadczalnych. To znaczy do momentu naszego startu.

Możliwości tkwiące w świeżo odkrytym „nadsystemie” istotnie mogły oznaczać prawdziwą rewolucję matematyczno-inżynierską, skoro w ciągu kilku lat ludzie potrafili nie tylko uporać się z geometrią, to jest z problemami zasięgu stymulatorów, modulacji i wzajemnego przenikania płaszczyzn, lecz także przejść do stadium zastosowań na taką skalę jak tutaj, w tym porcie.

Powtórzyłem sobie w duchu, że człowiek nie może dwa razy wejść do tej samej rzeki, przeszedłem przez szerokie drzwi wytyczone słupami ostrego, pomarańczowego światła i znalazłem się na placu dworcowym.

Stałem jak porażony. Moim pierwszym odruchem było uciec. Skryć się na powrót w zaciszu portu przed koszmarnym hałasem, przewiercającym czaszkę, paraliżującym mięśnie i nerwy. Z całej siły przycisnąłem dłonie do uszu. Potrzebowałem dobrej chwili, żeby jako tako ochłonać.

Miasto nie było głośniejsze niż dziewięć lat temu. Najwyżej odrobinę. Ale tło akustyczne jest ważnym elementem procesów przystosowawczych. Można się odzwyczaić. Nie mówiąc o naturalnym sojuszu człowieka z ciszą.

Sojusz człowieka z ciszą. Tak. Tak właśnie wtedy pomyślałem.

Ktoś dotknął mojego ramienia. Odwróciłem się. Oneska patrzył na mnie ze zrozumieniem i poruszał wargami. Oderwałem ręce od głowy i usłyszałem jego ostatnie słowa:

– ...każde bzyknięcie muchy w sąsiedniej dzielnicy...

Czułem, że powinienem spytać, o co chodzi z tymi muchami, ale przekrzyczenie miasta wydało mi się zadaniem ponad siły. Zresztą Oneska nie czekał na odpowiedź. Skinął na Tarrowsena i szybkim krokiem ruszył w stronę parkingu. Haleb poszedł za nimi. Spojrzałem na Avię i wciąż oszołomiony hałasem pociągnąłem ją za sobą, jak obcy turysta, który boi się stracić z oczu przewodnika.

Dwie minuty później wyprostowałem się i odetchnąłem z ulgą. Przecież to po prostu wielkie miasto. Moje miasto. Należę do niego, a nie do gwiazd. Miasto nie może być nieme.

W otwartym pawilonie, zastrzeżonym dla Centrali, ujrzałem pojazd, przypominający płaską łódź o niskich burtach, z sześcioma fotelami zamocowanymi w trzech rzędach. Nie okazując zdziwienia wysforowałem się do przodu, uniosłem nogę i skoczyłem, chcąc jednym rzutem ciała ulokować się w fotelu. Usłyszałem stłumiony okrzyk, a potem uderzyłem ramieniem o niewidoczną ścianę, ześliznąłem się po niej, na próżno szukając oparcia rozczapierzonymi palcami i z impetem usiadłem na ziemi. Natychmiast wstałem i kopnąłem szpicem buta pozornie nie istniejącą obudowę pojazdu, kilka centymetrów nad podstawą foteli. Moja noga przeniknęła do wnętrza. Straciłem równowagę i byłbym poleciał po raz drugi, gdyby nie podtrzymała mnie Avia.

– Czy nigdy ci nie mówiono – zabrzmiał za moimi plecami głos Haleba – że jeśli ktoś nie wie, co zrobić z kaczką po chińsku, powinien poczekać i podpatrzeć bywalców?

Wyprostowałem się.

– Zabawne – przyznałem. – „Wariant zastosowania nadsystemu teorii pola” – zacytowałem. – Czy pomyśleliście także o dzieciach? O nowej generacji zabawek? Przecież to lepsze niż czapka-niewidka.

– Dobrze, dobrze – powiedział Tarrowsen. – Za parę godzin dowiecie się o wszystkim. Także o dzieciach. Co do mnie, czuję się dostatecznie dorosły, żeby nie tracić czasu na

wyręczanie datorów. Zrobią to tysiąc razy szybciej i dokładniej. Chodźcie już – podszedł do czółnowatej konstrukcji w jej najszerszym miejscu. Wykonał ręką ruch, jakby przecierał szybę, po czym najspokojniej usiadł w fotelu. Obok niego zajął miejsce profesor. Z tyłu usadowił się Haleb, pozostawiając środkowy rząd mnie i Avii. Niby grzeczny uczeń, po raz pierwszy przychodzący do nowej klasy, usiadłem, gdzie mi kazano.

Pojazd ruszył i z miejsca nabierając prędkości skierował się ku estakadzie prowadzącej na drugi poziom miasta.

Natężenie ruchu ulicznego wzrosło chyba dwukrotnie. Zmieniła się moda. Nowinki poszły dalej, niż mogłem się spodziewać. Dalej, a także wyżej. Opanowały frontony budowli, okna, latające tarasy, wieże dworców i obrzeża mostów. Niebo ginęło za serpentynami barwnej, świecącej folii. Im bliżej centrum dzielnicy, tym większe stawały się holograficzne obrazy rozpięte w poprzek ulic, jakieś sielskie pejzaże, gigantyczne wiązanki kwiatów, najzupełniej chybione z punktu widzenia reklamy, bo pozbawione treści. Tak samo prezentowały się witryny salonów handlowych na obu dolnych poziomach. Jakby obowiązująca od wieków zasada „towar kupca chwali” ustąpiła nagle innej: „nie pokażę, zanim nie kupisz”. Lub też, jakby wszystkie magazyny, od wieżowców do najmniejszych pawilonów zostały doszczętnie ogołocone z towarów.

Ale mieszkańcom, którzy wylegli na chodniki i eskalatory, to najwidoczniej nie przeszkadzało. Łódkowaty wehikuł niósł nas zbyt szybko, bym mógł obserwować twarze mijanych ludzi, jednak ci, których udało mi się wyłuskać z tłumu, byli uśmiechnięci. Sprawiali wrażenie podnieconych, jak w wigilię święta, zapowiadającego moc radosnych niespodzianek.

Przyląpałem się na tym, że zaczynam snuć jakieś pierwsze domniemania, a nawet teoryjki. Było to przedwczesne. Nie ma najmniejszego sensu łamać sobie głowę, zanim nie przejdę przez tryby maszyny informatycznej Centrali w jej Ośrodku Aktualizacji Przystosowawczej. Nazwa tego ośrodka od lat była przedmiotem drwin i ataków językoznawców, ale na co dzień nikt z nas jej nie używał, tak że teraz z trudem przypominałem sobie jej brzmienie.

Zerknąłem na Avię. Patrzyła na mnie z tym swoim uśmieszkiem, który tak dobrze zapamiętałem, opuszczając Ziemię. Jej oczy mówiły, że cieszy się czymś, co nastąpi. A także tym, że ja nie wiem, co to mianowicie będzie.

Odwrociłem głowę i przyjrzałem się burcie pojazdu w miejscu, gdzie przechodziła w niewidzialną karoserię. Ostrożnie dotknąłem palcami gładkiej, twardej płaszczyzny. Nacisnąłem, najpierw bardzo delikatnie, potem trochę mocniej. Nie poddała się.

Cofnąłem rękę i przypominałem sobie swoje pierwsze, niefortunne podejście do pojazdu. Usiadłem głębiej w fotelu i z rozmachem uderzyłem pięścią, starając się trafić w miejsce, którego dotykałem przed chwilą. Przez moment moja ręka szła swobodnie dalej, pokonując niewyczuwalny zrazu, ale szybko rosnący opór. Jakbym napinał niesłyszalnie elastyczną błonę. Zanim zdołałem wyprostować ramię, ściana stwardniała. Nacisnąłem mocno, bez skutku. Jeszcze sekunda i wypchnięty fragment karoserii rozpoczął ruch powrotny, napierając na moją pięść z siłą dryfującego tankowca.

Spojrzałem na profesora Oneskę. Pochwyciwszy mój wzrok skinął głową, jakby chciał powiedzieć, że wszystko jest w porządku.

Rozbolał mnie kark. Mięśnie miałem napęczniałe jak drewno. Normalna reakcja po długim locie. W dalszym ciągu nie próbowałem silić się na zgadywanie. Mówiąc ściślej, myśleć o czymkolwiek. Nic prostszego. Tak mogłoby się zdawać. Przynajmniej komuś, kto jak ja nawykł do klasyfikowania rzeczy, spraw i uczuć według czasu. Problem stary jak świat. Kontredans niecierpliwości i doświadczenia. Coś, co dzieje się w każdym człowieku. Ale gdyby nie ten wewnętrzny ruch, nie byłoby pilotów. Nie tylko pozaukładowych.

Wzruszyłem ramionami i ponownie skupiłem uwagę na wyglądzie mijanych ulic. Zanim jednak z uczuciem dalekim od podziwu zdążyłem zmierzyć wzrokiem rozmiary kolejnej kwiatowej piramidy, wszystko znikło. Przed nami zapłonęły szpalery ksenonowych świateł. Wpadliśmy w tunel.

– Myślałeś o mnie? – usłyszałem przyciszony głos Avii.

Siedziała wygodnie w miękkim fotelu i uśmiechała się. Ciągłe się uśmiechała.

Objąłem ją ramieniem.

– O co chodzi? – spytałem równie cicho.

Nie odpowiedziała. Nie gorzej niż my musiała wyczuwać fałsz w atmosferze towarzyszącej powrotowi „Dyny”, od wejścia w płaszczyznę ekliptyki do jazdy tym czółnem, zbudowanym z niewidzialnej gumy. Ale nic sobie z tego nie robiła. Jej uśmiech mówił dobitnie, że teraz przynajmniej nie dowiem się od niej niczego.

Tunel został za nami. Budynki rozbiegły się, jechaliśmy chwilę szeroką szosą przypominającą stary pas startowy, po czym skręciliśmy w lewo, między wysokie drzewa, otaczające pawilony Centrali.

Rozdział II

W gabinecie lekarskim panował półmrok. Ekrany z wijącymi się sinusoidami zapisów przywodziły na myśl kabinę statku. Ale tu była Ziemia. Z przestrzenią te wykresy miały tyle wspólnego, że pilot Centrali mógł z nich wyczytać, czy jeszcze choć raz w życiu polecą do gwiazd. Albo przynajmniej na najbliższą stację orbitalną.

Kounrida wyprostował się i odsunął fotel. Szybkim ruchem wygasił monitory. W pokoju pojaśniało.

– W porządku – powiedział sennym, jakby znudzonym głosem. – Zawsze jesteście w porządku. Nikt nie chce wierzyć, kiedy mówię, że praca tutaj to zwykła synekura – uśmiechnął się.

– Możesz się przekwalifikować – poradziłem uprzejmie. – Niektóre załogi narzekają na częste awarie stymulatorów psychicznych. W końcu, co za różnica, dbać o prawidłowy obieg bioprądów w żywych organizmach, czy o aparaturę sterującą samopoczuciem... to znaczy – dodałem po chwili – o tych awariach słyszałem, rzecz jasna, dziewięć lat temu...

Bezwiednie ściszyłem głos. Poczułem się znużony i zniechęcony. Nagle zatęskniłem do miasta, z jego zgiełkiem i ruchem. Zapragnąłem znaleźć się znowu wśród tych idiotycznych dekoracji, zgubić w rozradowanym z niewiadomego powodu tłumie.

– To już wszystko? – spytałem. Sam się zdziwiłem, ile zniecierpliwienia zabrzmiało w moim głosie.

Kounrida przyjrzał mi się uważnie, po czym westchnął i pokręcił głową. Przeszedł przez pokój i przystanął przed białym zasobnikiem wbudowanym w ścianę. Odwrócił się i podał mi fiolkę z pomarańczowymi pigułkami.

– Weź to – powiedział. – Zażyjesz dzisiaj trzy, a jutro pięć. Ostatnią wieczorem. Zanim zaśniesz – dodał z naciskiem.

– Nie mam zwyczaju jeść pigułek przez sen – wyjaśniłem. – Co to jest?

– Homeotal.

– Co?

– Mówię przecież, tabletki homeotalu. To nowy środek stosowany przed... no, mniejsza z tym. My tutaj zażywamy to od dwóch tygodni...

– Co za „my”? Lekarze?

– Wszyscy – odrzekł spokojnie. – Wy przejdziecie teraz przyspieszoną kurację. Nie zapomnij...

W jego głosie zabrzmiało ostrzeżenie, które powinienem potraktować z całą powagą. Kounrida nie należał do lekarzy lubujących się w opisywaniu pacjentom okropności, jakie ich czekają, gdyby ściśle nie przestrzegali przepisanej kuracji. A swoją drogą, że też oni zawsze tak święcie wierzą w zbawcze działanie wszystkiego, co tylko uda się wysmażyć w syntetyzatorach.

Nie pozwoliłbym zbyć się tym wyjaśnieniem, które niczego nie wyjaśniało, ale w tej właśnie chwili do gabinetu wszedł Tarrowsen.

– No i co? – rzucił od progu.

– To co zawsze – powiedział Kounrida, odwracając się twarzą do aparatury. – Już po wszystkim. Możecie iść.

Tarrowsen przeniósł spojrzenie na mnie.

– Idź teraz do domu przywitać się z rodziną. Ale nie wdawaj się w żadne dyskusje. Nie żądam wyjaśnień. Od nikogo – podkreślił. – O dziesiątej wieczorem przyjdiesz do Centrali na nocleg. Będę na ciebie czekać. Rano obudzisz się już jako człowiek współczesny – zmusił się do uśmiechu, ale jego oczy pozostały poważne.

– A Haleb? – spytałem.

– Rozumiem – zakpił. – Zabrakło wam kilku minut na uzgodnienie poglądów.

Przerwaliście w najciekawszym miejscu. Trudno. Teraz musicie uzbroić się w cierpliwość.

Przeszedłem obok niego i skierowałem się do wyjścia. Przez chwilę walczyłem z podejrzeniem, że wszystko to nie dzieje się naprawdę, że tkwię jeszcze w hibernatorze, mam awarię sprężarek i niedostatek tlenu sprowadza na mnie nedorzeczne sny.

Ale to nie był sen. Przynajmniej do tej pory.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI